

# KOLOR Z PRZESTWORZY



Na zachód od Arkham wznoszą się dzikie wzgórza, a doliny porastają głębokie lasy, których jeszcze nigdy nie tknęła siekiera. Są tam też mroczne, ciasne wąwozy, a w nich fantastycznie pochylone drzewa i sączące się wąskie strumyki, gdzie nigdy nie dociera słońce. Na łagodnie opadających zboczach przycupnęły farmy - stare, kamienne, omszałe chaty - i pod osłoną ogromnych występów skalnych dumają wieczyście nad prastarymi tajemnicami Nowej Anglii wszystkie są teraz opustoszałe, szerokie kominy się kruszą, a wyłożone gontem ściany groźnie wypaczały się pod niskimi dwuspadowymi dachami.

Dawni mieszkańcy wynieśli się stąd, a nowy przybysze z innych stron nie mają ochoty się tutaj osiedlić. Próbowali już Kanadyjczycy francuskiego pochodzenia, próbowali Włosi, pojawili się też Polacy, ale odeszli. Dzieje się tak nie z powodu czegoś, co tu widać, słysząc czy też czego można dotknąć, ale z powodu czegoś, co mieści się tylko w sferze wyobraźni. Miejsce to właściwie nie pobudza wyobraźni, ale też nie zapewnia nocą spokojnych snów. Chyba to właśnie zraża przybyszów z obcych stron, bo stary Ammi Pierce nigdy jeszcze słowem nie wspomniał im o tym, co pamięta z tych dziwnych dni. Tylko Ammi, od lat już niezbyt sprawny umysłowo, wciąż tutaj mieszka i tylko on jeden mówi czasem o tamtych dziwnych dniach, a ma odwagę mówić, bo jego dom stoi w pobliżu otwartych pól i uczęszczanych dróg wokół Arkham.

Niegdyś droga wiodła przez wzgórza i doliny, tam gdzie teraz rozciąga się przeklęte wrzosowisko, jednakże ludzie przestali z niej korzystać i zbudowano nową, skręcającą daleko na południe. Nawet teraz można znaleźć ślady starej drogi pośród porastającego tu na nowo gąszczu, a część z nich trwać jeszcze będzie wtedy, gdy połowę dolin pokryje zbiornik wodny. Wtedy zostaną wycięte mroczne lasy, a przeklęte wrzosowisko będzie drzemać głęboko pod błękitną, rozmigotaną taflą wody, w której przeglądać się będzie niebo. Tajemnice owych dziwnych dni zjednoczą się z tajemnicami głębi wodnych i z tajemną wiedzą starego oceanu oraz wszystkimi sekretami pierwotnego świata.

Kiedy wybierałem się pomiędzy te wzgórza i doliny, żeby zbadać teraz przeznaczony na nowy zbiornik wodny, powiedziano mi, że jest to wrogie miejsce. Powiedziano mi że w Arkham, a ponieważ jest to bardzo stare miasto, w którym wciąż liczne legendy o czarownicach, uznałem, że owa złowrogość wiąże się z tym, co w ciągu stuleci opowiadały dzieciom babki. Określenie "przeklęte wrzosowisko" wydało mi się bardzo dziwne i teatralne. Zastanawiałem się, w jaki sposób znalazło się w purytańskim folklorze. A potem zobaczyłem to mroczne, biegnące na zachód kłębowisko wąwozów i urwisk skalnych i przestałem się nad tym zastanawiać, pochłonięty jedynie jego starą tajemnicą. Był ranek, kiedy je ujrzałem, ale mrok zalegał tam zawsze. Drzewa rosły gęsto, a ich pnie były tak ogromne, że nie sposób by spotkać im podobne w zdrowych lasach Nowej Anglii. W mrocznych prześwitach między drzewami panowała zbyt wielka cisza, a podłoże było zbyt grząskie od wilgotnego mchu i nawarstwiającego się w przeciągu niezliczonych lat rozkładu.

Na otwartych przestrzeniach, głównie wzdłuż starej drogi, widniały drobne farmy na zboczach wzgórz; były to albo skupiska kilku budynków, albo tylko jeden czy dwa, a bywało, że sterczałzaledwie samotny komin czy przysypana ziemią piwnica. Królowały tu chwasty i krzaki róży polnej, a w zaroślach rozlegał się szelest jakichś

tajemniczych stworów. Wszystko dokoła spowijały opary niepokoju i smutku; wszystko wydawało się nierealne i groteskowe, tak jakby jakieś istotne ogniwo perspektywy czy światłocieni zostało skierowane na opak. Nie dziwiłem się, że przybysze z obcych stron nie chcieli się tu zatrzymać. bo sen tutaj był prawie wykluczony. Aż nadto przypominało to scenę Salvatora Rosi, groźny drzeworyt z opowieści niesamowitej.

A jednak to wszystko nie było jeszcze tak przerażające jak przeklęte wrzosowisko. Przekonałem się o tym w tym momencie, kiedy znalazłem się w głębi rozległej doliny; żadne inne określenie nie pasowałoby do tego miejsca, tak jak żadne inne miejsce nie pasowałoby do tego określenia. Mogło się wydawać, że poeta stworzył ową frazę ujrawszy ten właśnie region. Rozejrzawszy się dokoła pomyślałem, że wszystko chyba tutaj strawił ogień; ale dlaczego nic nowego nie wyrosło na owych pięciu akrach szarego pustkowia rozciągającego się pod gołym niebem, które pośród tych lasów i pól wyglądało jak spalone jakimś kwasem? Siegało ono daleko na północ wzdłuż dawnej drogi, ale wdzierało się też i na drugą jej stronę. Ogarnęła mnie dziwna niechęć na samą myśl, że mam tam pójść, ale przecież musiałem, bo tego wymagała moja misja. Na całej tej rozległej przestrzeni nie było żadnej roślinności, jedynie mialki szary pył czy popiół, którego chyba jeszcze nigdy nie tknął wiatr. Pobliskie drzewa były schorzałe i karłowate, a wiele uschłych pni sterczało w górę albo leżało nirszejac na brzegu tego pustkowia. Kiedy przechodziłem obok nich w pośpiechu, zauważyłem po prawej stronie rumowisko cegieł i kamieni, pozostałość po starym kominie i piwnicy, a także ziejącą czernią otchłań porzuconej studni, z której unosiły się stęchłe opary, tworząc w promieniach słońca najdziwniejsze kształty. Nawet długie, mroczne lesiste urwisko wznoszące się za tym pustkowiem wydawało się przez kontrast bardzo przyjemne; przestały mnie już teraz zdumiewać bojaźliwe szepty mieszkańców Arkham. W pobliżu nie było żadnego domostwa ani nawet ruin; i dawnymi czasy to miejsce chyba też musiało być bezлюдne i odosobnione. O zmierzchu, drząc przed powtórny przemierzaniem tego złowieszczonego miejsca, wróciłem do miasta już okrężną drogą, skręcającą na południe. Marzyłem skrycie, aby na niebie pojawiły się chmury, gdyż dziwny lęk wdarł się do mej duszy z powodu rozciągającej się nade mną głębokiej próżni nieba.

Wieczorem pytałem różnych starych ludzi w Arkham o przeklęte wrzosowisko, a także, co znaczy określenie "dziwne dni", które tak wielu spośród nich niejasno wymieniało. Nie otrzymałem jednak jasnej odpowiedzi poza tym, że tajemnica wcale nie jest tak dawna, jak sobie wyobrażałem. Nie wiązało się to z jakąś starą legendą, ale z czymś, co miało miejsce jeszcze za życia tych, z którymi rozmawiałem. Zdarzyło się to w latach osiemdziesiątych, kiedy to pewna rodzina zniknęła czy też została zamordowana. Ludzie, z którymi rozmawiałem, nie byli co do tego zgodni, a ponieważ wszyscy mi doradzali, abym nie zwracał uwagi na szalone opowieści starego Ammiego Pierce'a, odnalazłem go nazajutrz rano, dowiedziawszy się, że mieszka samotnie w wiekowej, rozpadającej się chacie, na skraju leśnej gęstwiny. Była to bardzo stara chata, z której zaczynała się już dobywać woń rozkładu, tak charakterystyczna dla zaniedbanych domów. Tylko natarczym pukaniem mogłem wyciągnąć z łózka tego starca, a kiedy doczłapał się załęczniony do drzwi, najwyraźniej nie był ucieszony moją wizytą. Nie był tak słaby, jak myślałem, ale oczy dziwnie mu się zapadły, a niedbały ubiór i biała broda nadawały mu wygląd człowieka steranego życiem i posępnego.

Nie wiedziałem, w jaki sposób najlepiej byłoby go nakłonić do rozmowy, stworzyłem więc pozory interesu; zwierzyłem mu się z mojej inspekcji terenu i zadałem mu kilka mało znaczących pytań odnośnie okolicy. Miał żywszy umysł i był o wiele bardziej inteligentny, niż przypuszczałem, a nim się spostrzegłem, pojął równie dużo, jak każdy człowiek, z którym zdarzyło mi się rozmawiać w Arkham. Był całkiem inny niż ci wszyscy wieśniacy, jakich poznałem na wydzielonych obszarach, przeznaczonych pod zbiornik wodny. Nie protestował z powodu zniszczenia wielu mil starych lasów i farm, choć zapewne protestowałby, gdyby jego dom znajdował się na terenie przyszłego jeziora. Znać po nim tylko było, że doznał ulgi; ulgi z powodu lasu, jaki miał spotkać prastare mroczne doliny, po których wędrował przez całe życie. Wolał, żeby zalała je woda - żeby było zalała je zaraz po tych dziwnych dniach. Jego ochrypy głos przycichł, pochylił się cały do przodu, a palcem prawej ręki z drżeniem zaczął wskazywać kierunek, co robiło na jego rozmówcy wstrząsające wrażenie.

Wtedy właśnie usłyszałem tę opowieść, a kiedy snuł ją ochryplym, to znów ściszyłem do szeptu głosem, coraz to wstrząsał mną dreszcz, choć był to dzień w pełni lata. Często musiałem go przywoływać z tej chaotycznej plątaniny, dobierać naukowe zwroty, które zachował jeszcze w osłabionej już, papuziej pamięci z zasłyszanej rozmowy profesorów, wypełniać luki, w których przerywała się ciągłość i zatracał się sens logiczny. Kiedy skończył, przestałem się dziwić, że jego umysł uległ zachwianiu albo że ludzie z Arkham nie chcą wiele mówić o przeklętym wrzosowisku. Jeszcze przed zachodem słońca pośpieszyłem do hotelu, żeby nie widzieć rozbłyskujących nade mną gwiazd na pustym niebie następnego dnia wróciłem do Bostonu aby złożyć rezygnację z mojej posady. Nie mogłem już powrócić do tego mrocznego chaosu starego lasu i wzgórz ani spojrzeć raz jeszcze na spopieliałe przeklęte wrzosowisko, gdzie czarna studnia obok rumowiska cegieł i kamieni zieję otchłań. Wkrótce powstanie tam zbiornik wodny i wszystkie stare tajemnice zostaną ukryte na zawsze w jego głębinie. Ale nie sądzę, abym kiedykolwiek jeszcze miał ochotę odwiedzić to miejsce nocą, a już na pewno nie wtedy, gdy niebo będzie usiane złowieszczyimi gwiazdami, i za nic w świecie nie napiłbym się wody w Arkham.

Wszystko zaczęło się, jak powiedział stary Ammi, od meteorytu. Dawniej, od czasu jak sądzono czarownice, nie opowiadano tu żadnych niesamowitych legend, ale nawet wtedy owe lasy nie budziły takiego lęku, jak maleńka wysepka w Miskatonic, gdzie diabeł miał swój dwór koło dziwnego kamiennego ołtarza pamiętającego dni jeszcze sprzed czasów Indian. Nie było tu lasów, w których straszono, a ich fantastyczny mrok nie przerażał nikogo, aż do owych dziwnych dni, kiedy to w południe pojawiła się na niebie biała chmura, rozległa się seria grzmotów, a z doliny, w głębi lasu, uniósł się kłęb dymu. Jeszcze przed nastaniem nocy całe Arkham usłyszało o wielkiej skale, która spadła z nieba i wbiła się w ziemię przy studni Nahuma Gardnera. Dom jego położony był w miejscu, które miało się stać przeklętym wrzosowiskiem - schludny, biały dom Nahuma Gardnera pośród urodzajnych ogrodów i sadów.

Nahum wybrał się do miasta, by opowiedzieć ludziom o tym kamieniu, a po drodze wstąpił też do Ammiego Pierce'a. Ammi miał wtedy czterdzieści lat i wszystkie te niezwykle zdarzenia mocno mu się wryły w pamięci. Następnego dnia rano udał się z żoną i trzema profesorami z Uniwersytetu w Miskatonic, aby obejrzyć tego "nieziemskiego przybysza" z nieznanymi gwiazdnych przestworzy, i wszyscy się zdziwili, dlaczego Nahum mówił wzorająco, że jest tak ogromny. Skurczył się, wyjaśnił Nahum, wskazując na wielki brązowy kopic sterczący nad rozpaloną ziemią i spaloną trawą, tuż przy starej studni z żurawiem na frontowym podwórku Nahuma; mądrzy profesorowie orzekli jednak, że kamienie się nie kurczą. Bez przerwy wydobywał się z niego żar, a Nahum dodał, że w nocy bił z niego blask. Profesorowie stuknęli w kamień geologicznym młotkiem i okazało się, że jest zdumiewająco miękki, tak jakby był z plastyku. Wydrążyli raczej niż odłupali kawałek tego okazu, aby zabrać do college'u dla celów badawczych. Włożyli go do starego wiadra pożyczonego od Nahuma, bo nawet ten mały kawałeczek wciąż był gorący. W powrotnej drodze zatrzymali się na krótki odpoczynek u Ammiego i byli niepomiernie zdziwieni, gdy pani Pierce doniosła im, że odłamek kamienia coraz bardziej się zmniejsza i wypala dno wiaderka. Rzeczywiście nie był duży, ale uznali, że musieli wziąć mniejszy, niż im się wydawało.

Następnego dnia - a działo się to w czerwcu roku 1882 - profesorowie wybrali się ponownie do Nahuma wielce zafascynowani. Po drodze znowu wstąpili do Ammiego i opowiedzieli mu o dziwnym zachowaniu tego okazu i o tym, że zniknął bez śladu, gdy włożyli go do szklanej probówki. Probówka też zresztą zniknęła i uczeni napomknęli coś o dziwnym pokrewieństwie tego kamienia z krzemem. Zachowywał się wprost niewiarygodnie w ich dobrze wyposażonym laboratorium; podgrzewany węglem drzewnym nie wykazywał żadnej reakcji ani nie wydzieliał gazów, dawał reakcję ujemną z boraksem, nie ulatniał się w żadnej możliwej do osiągnięcia temperaturze, nawet w tlenowodorowej dmuchawce. Na kowadełku okazał się wysoce elastyczny, a w ciemności wyraźnie świecił. Nie było sposobu, aby go ochłodzić, co wprowadziło cały college w stan wielkiego zdumienia; natomiast przy podgrzewaniu pod spektroskopem roztaczał błyszczące kręgi o barwach zupełnie niespotykanych w normalnym spektrum. Wywołało to zapierające dech dyskusje o nowych elementach, dziwacznych optycznych właściwościach i wielu innych cechach, o których zaskoczeni ludzie nauki mają zwyczaj rozprawiać, kiedy się zetkną z nieznanym.

Choć wciąż był gorący, postanowili go jednak wypróbować w tyglu za pomocą różnych składników. Woda nie działała. Kwas solny też nie działał. Kwas azotowy i nawet woda królewska tylko rozpryskiwały się z sykiem w zetknięciu z tą rozżarzoną, odporną na wszystko masą. Ammi miał trudności z przypomnieniem sobie kolejnych składników, ale rozpoznawał wszystkie, w miarę jak je wymieniał w odpowiedniej kolejności. Był więc amoniak i soda kaustyczna, alkohol i eter, przyprowadzający o młodości siarczek węgla i dziesiątki innych składników; mimo że w miarę upływu czasu odłamek kamienia coraz bardziej tracił na wadze, a jego żar zdawał się jakby trochę wygasać, wciąż nie widać było, aby którykolwiek ze stosowanych składników zadziałał choćby w najmniejszym stopniu. Był to bez wątpienia metal. Miał cechy magnetyczne, to też nie budziło wątpliwości; a po zanurzeniu w różnych roztworach kwasu pojawiały się jakby ledwie widoczne ślady figury Windmännstätten, spotykane na żelazie meteorytów. Kiedy stwierdzono już znaczne ochłodzenie, dokonano próby w szkle; tę resztkę, jaka pozostała z całego kawałka w toku przeprowadzanych doświadczeń, umieszczono w szklanej probówce. Rano, następnego dnia, okazało się, że wszystko, wraz z probówką, zniknęło bez śladu, pozostała tylko zwęglona plama na drewnianej półce w miejscu, gdzie stała probówka.

Opowiedzieli to Ammiemu profesorowie, kiedy zatrzymali się przed jego drzwiami, i raz jeszcze wybrali się razem, żeby obejrzyć dokładniej tego kamiennego wysłańca z gwiazd. Tym razem żona Ammiego nie poszła z nimi. Meteoryt zmniejszył się bardzo wyraźnie, tak że nawet trzeźwo myślący profesorowie nie mogli poddać w wątpliwość tej oczywistej prawdy. Wokół skurczonej brązowej bryły koło studni widniało teraz puste miejsce, pozostało tylko wklęsła ziemia; poprzedniego dnia bryła miała w przekroju dobre siedem stóp, teraz zaledwie pięć. Wciąż była gorąca, a uczeni obserwowali jej powierzchnię z ogromnym zaciekawieniem, starając się oddzielić jednocześnie młotkiem i dłutem drugi, trochę większy kawałek. Tym razem zatopili dłuto głębiej, a wtedy przekonali się, że jądro tej bryły nie jest jednolite.

Odślonili coś, co zdawało się być boczną ścianą dużej kuli osadzonej wewnątrz masy. Jej kolor, przypominający kręgi w dziwnym spektrum meteorytu, był prawie nie do opisanego; i tylko przez analogię nazwali to kolorem. Zbudowana była z lśniącej materii, a przy dotyku okazała się krucha i pusta w środku. Jeden z profesorów mocniej uderzył młotkiem, a wtedy rozległo się jakby nerwowe, krótkie syknięcie. Nic się z jej wnętrza nie wydobyło, ale po rozłupaniu zniknęła bez śladu. Pozostało po niej jedynie puste okrągłe wgłębienie o średnicy około trzech cali i wszyscy mieli nadzieję, że odkryją teraz następną kulę, skoro ta zniknęła.

Przypuszczenie okazało się mylne; zaczęli wiercić w bryle w poszukiwaniu następnych, ale bezowocnie, wobec tego odjechali z następnym kawałkiem, który w laboratorium okazał się równie zagadkowy, jak poprzedni. Miał także konsystencję plastyku, był gorący, wykazywał cechy magnetyczne, lekko polśniawał, w mocnych kwasach odrobinę się ochładzał, posiadał zupełnie nieznanne widmo spektrum, pod wpływem powietrza zmniejszał się, działał na związki krzemu niszcząco, ale i one też niszcząco nań działały, a mimo to nie sposób było zidentyfikować żadnych bliżej określonych cech; po zakończeniu wszelkich badań naukowcy musieli zgodnie stwierdzić, że nie są w stanie go nigdzie zaklasyfikować. Nie przynależał do ziemi, był fragmentem czegoś z zewnątrz; miał cechy pozaziemskie i podlegał jakimś obcym prawom.

Tej nocy szalała burza, a gdy nazajutrz profesorowie wybrali się do Nahuma, spotkało ich gorzkie rozczarowanie. Kamień, przy swoich właściwościach magnetycznych, musiał mieć jeszcze szczególne właściwości elektryczne, ponieważ, jak się wyraził Nahum, "przyciągał pioruny" ze szczególną częstotliwością. Farmer widział, że aż sześć razy w ciągu godziny pioruny uderzały w rozkopaną ziemię na frontowym podwórku, a kiedy burza minęła,

pozostał tylko nierówny dół przy starej studni, do połowy zasypany ziemią. Kopanie okazało się bezowocne, naukowcy stwierdzili, że kamień zniknął bez śladu. Był to prawdziwy zawód; nie pozostało im nic innego, jak wrócić do laboratorium i jeszcze raz poddać badaniom znikający fragment zamknięty starannie w ołowianej kapsułce. Istniał on jeszcze przez tydzień, ale nie zdołano dokonać żadnego cennego odkrycia. Po jego zniknięciu nie pozostał nawet osad, w związku z czym u profesorów zbudziła się wątpliwość, czy rzeczywiście widzieli na własne oczy ten tajemniczy fragment nieogarnionych przestworzy, tego samotnego, pozaziemskiego zesańca z wszechświata i innych sfer materii, siły, istnienia.

Wszystkie gazety w mieście Arkham nadały oczywiście rozgłos temu wydarzeniu za poręczeniem kolegiaty uniwersyteckiej i wysłały swoich reporterów celem przeprowadzenia wywiadu z Nahumem i jego rodziną. Dziennik z Bostonu także wysłał swojego pracownika i Nahum wkrótce stał się prawie że miejscową sławą. Był szczupłym, jowialnym mężczyzną lat około pięćdziesięciu, miał żonę i trzech synów oraz dobrze zagospodarowaną farmę w dolinie. Nahum i Ammi często odwiedzali się nawzajem, tak samo ich żony; Ammi po latach nie mógł się nachwalić Nahuma. Był nawet dumny, że tyle uwagi poświęcano farmie przyjaciela, i on również w ciągu kilku następnich tygodni często mówił o meteorycie. Lipiec i sierpień tego roku były upalne, Nahum ciężko pracował przy zbiorze siana na dziesięcioakrowej łące nad Chapman's Brook; jego turkocący wóz żłobił głębokie koleiny na cienistych drózkach. Praca ta męczyła go jakoś bardziej niż zwykle, czuł że wiek zaczyna na nim wyciskać swoje piętno.

Potem nadeszła pora owoców i żniw. Gruszki o jabłka dojrzewały powoli i Nahum twierdził, że jego sady rodzą w tym roku o wiele obficie niż we wszystkich minionych latach. Owoce były wprost fenomenalnych rozmiarów i o niezwykłym połysku, a obrodziły w takich ilościach, że trzeba było zamówić dodatkowe kosze, aby się mogły pomieścić. Ale w miarę jak dojrzewały, przyszło rozczarowanie, bo choć były dorodne i wspaniale soczyste, zupełnie nie nadawały się do jedzenia. Wkradła się w nie jakaś ohydna gorycz, a po nadgryzieniu najmniejszego kawałka długo nie można się było pozbyć nieprzyjemnego smaku. To samo stało się z melonami i pomidorami i Nahum ze smutkiem stwierdził, że cały zbiór jest zmarnowany. Szybko powiązał wszystkie te wydarzenia i doszedł do wniosku, że meteoryt zatruł mu ziemię, toteż dziękował Niebiosom, że resztę zbiorów miał na wzgórzu obok drogi.

Zima nastąpiła wcześniej i była bardzo mroźna. Ammi rzadziej teraz widywał Nahuma i zauważył, że sprawia on wrażenie bardzo zmęczonego. Tak samo wyglądała cała rodzina Nahuma, wszyscy stali się dziwnie milczący; nie chodzili już systematycznie do kościoła, o wiele rzadziej uczestniczyli w towarzyskich imprezach wsi. Trudno było znaleźć przyczynę ich rezerwy i melancholii, zwrzali się jednak, że są osłabieni i odczuwają jakiś dziwny lęk. Sam Nahum dawał temu konkretne świadectwo mówiąc, że zaniepokojony jest pewnymi śladami na śniegu. Były to, jak zwykle zimą, ślady rudych wiewiórek, białych królików i lisów, ale błądzący gdzieś myślami farmer twierdził, że to, co widział, nie odpowiada prawom natury i jej ustalonemu porządkowi. Nie potrafił tego dokładnie określić, ale odnosił wrażenie, że ani pod względem anatomicznym, ani zachowania nie przypomina wiewiórek, królików czy lisów. Ammi słuchał tego bez większego zainteresowania, dopóki którejś nocy, wracając z Clark's Corner, nie musiał przejeżdżać saniami koło domu Nahuma. Na niebie świecił księżyc, aż nagle przez drogę przemknął królik tak długimi susami, że zaskoczyło to zarówno Ammiego, jak i jego konia, który rzucił się do ucieczki i Ammi z trudem go powstrzymał, mocno ściągając lejce. Od tej pory Ammi poważniej zaczął traktować opowieści Nahuma i tylko wciąż jeszcze zastanawiał się, dlaczego psy Nahuma są tak przerażona i tak drżą każdego ranka. Okazało się, że prawie straciły umiejętność szczekania.

W lutym chłopcy McGregora z Meadow Hill wybrali się na polowanie na świstaki i w pobliżu domu Gardnera zabili niezwykły okaz świstaka. Był dziwnie nieproporcjonalny, a głowa miała kształt i wyraz zupełnie niespotykany wśród tych zwierząt. Chłopcy tak się przestraszyli, że natychmiast wyrzucili swoją zdobycz, tak więc tylko ich nieprawdopodobne opowieści dotarły do ludzi we wsi. Zaś fakt, że konie stają dęba koło domu Nahuma, stał się już powszechnie znany i szybko zaczęto szeptać na ten temat różne opowieści.

Ludzie z uporem twierdzili, że śnieg wokół domu Nahuma topnieje szybciej niż gdzie indziej, a na początku marca odbyła się pełna grozy rozmowa w sklepie Pottera w Clark's Corner. Stephen Rice przejeżdżając rano koło domu Gardnera zauważył, że w błotnistej ziemi koło lasu po drugiej stronie drogi rośnie dzika kapusta. Jeszcze nigdy nie widziano kapusty takich rozmiarów, a jej koloru nie oddałyby żadne słowa. Kształt miała wprost niesamowity, a koń aż parsknął od niebywałego smrodu, jakiego jeszcze nie wydawała żadna kapusta. Tego popołudnia parę osób przyjechało, żeby obejrzeć nienormalnie wyrosniętą kapustę i wszyscy zgodnie orzekli, że tego rodzaju warzywa nie mogłyby urosnąć w zdrowym świecie. Zaczęto mówić też o nieudanych owocach z ubiegłej jesieni i przekazywano z ust do ust wieści, że ziemia Nahuma jest zatruta. Przyczyną, oczywiście, był meteoryt; a pamiętając, jak dziwny wydał się uczniom z college'u, kilku farmerów powiadomiło ich o obecnym wydarzeniu.

Pewnego więc dnia uczeni odwiedzili Nahuma; nie byli zwolennikami ludowych bajań i folkloru, a w swoim orzeczeniu wykazali raczej ostrożność. Kapusta wydała im się rzeczywiście dziwna, ale dzika kapusta jest prawie zawsze dziwna, jeśli chodzi o kształt i kolor. Bardzo możliwe, że jakieś mineralne składniki z meteorytu przedostały się do ziemi, ale wkrótce wypłuczą je deszcze. A jeśli chodzi o ślady na śniegu i przestraszone konie - to po prostu wiejska gadanina, którą taki fenomen jak aerolit musiał rozbudzić. Trudno, aby poważni ludzie mieli się zajmować plotkami, bo przecież wieśniacy są przesądni, mówią i wierzą we wszystko. I tak przez cały okres tych dziwnych dni profesorowie trzymali się z daleka, okazując lekceważenie. Tylko jeden spośród nich, który otrzymał dwie fiolki ziemi do analizy na zlecenie funkcjonariusza policji w jakieś półtora roku później, przypomniał sobie, że dziwny kolor kapusty był bardzo podobny do anomalnych błyszczących kręgów widzianych pod spektroskopem w college'u i do kruchej kuli znajdującej się wewnątrz meteorytu. W tym przypadku analiza próbek wykazała te same dziwne kręgi, które jednak wkrótce zanikły.

Rosnące wokół domu Nahuma drzewa wypuściły pąki przedwcześnie, a nocą kołysały się złowieszczo na wietrze. Młodszy syn Nahuma, piętnastoletni Thaddeus, twierdził, że tak samo się kołyszą, kiedy wcale nie wieje wiatr; ale nawet plotkarze nie mogli temu dać wiary. Jedno tylko nie budziło wątpliwości, że w powietrzu był niepokój. W całej rodzinie Gardnera rozwinął się nawet ciągłego nasłuchiwanie, choć nie potrafiliby określić, czego nasłuchują. W rzeczywistości to nasłuchiwanie było efektem chwilowego zatarcia świadomości. Niestety, takie momenty narastały z tygodnia na tydzień, aż zaczęto powszechnie mówić, że "coś jest nie w porządku z rodziną Nahuma". Kiedy zakwitła wczesna skalnica, jej barwy też były dziwne; może niezupełnie takie same jak u dzikiej kapusty, ale podobne i raczej nikomu nie znane. Nahum zaniósł kilka kwiatków redaktorowi "Gazette", ale ten dostojnik napisał tylko żartobliwy artykuł, w którym tajemnicze strachy wieśniaków zostały w grzeczny sposób ośmieszone. Nahum popełnił błąd opowiadawszy temu pozbawionemu wyobraźni mieszczuchowi, jak zachowują się w stosunku do skalnicy ogromne, niespotykanych rozmiarów motyle.

W kwietniu ludzi we wsi ogarnęło jakieś szaleństwo i przestali korzystać z drogi wiodącej obok domu Nahuma, tak że groziło jej całkowite zapomnienie. Przyczyniła się do tego roślinność. Wszystkie drzewa rozkwitły wcześniej w najprzeróżniejszych kolorach, a na kamienistym podwórku i przyległym pastwisku tak bujnie puściła się roślinność i w takiej różnorodności, że tylko botanik mógłby rozpoznać, czy jest to flora właściwa dla danego regionu. Jedynie trawa i listowie drzew zachowały jeszcze zdrowy wygląd; poza tym wszystko przybrało szaleńczy, prazmatyczny i schorzały wygląd, i to nadawało jakiś szczególny ton barwom zupełnie nieznanym na kuli ziemskiej. Ładniczki stały się obiektem złowieszczej grozy, a ich krwiste korzenie rosły zuchwale w swojej chromatycznej perwersji. Ammi i Gardner uważali, że większość spośród tych barw jest w jakiś sposób podobna aż do znudzenia i wszystkie przypominają ową kruchą kulę wewnątrz meteorytu. Nahum orał i zasiewał dziesięciokrotne pole oraz ziemię na wzgórzu, nic natomiast nie robił wokół domu. Zdawał sobie sprawę, że byłby to próżny trud, i miał cichą nadzieję, że tak dziwnie obfite plony z tego lata wyciągną z ziemi truciznę. Teraz był już przygotowany na wszystko i nawet przywykł do ciągłego nasłuchiwania, w nadziei, że wkrótce coś blisko siebie usłyszy. Sąsiedzi wciąż unikali jego domu, co także wywarło na nim swoje piętno, ale znacznie większe na jego żonie. Chłopcy byli w lepszej sytuacji, bo chodzili codziennie do szkoły, ale krążące plotki ich także napełniały lękiem. Najdotkliwiej odczuwał to Thaddeus, chłopiec o wyjątkowej wrażliwości.

W maju pojawiły się jakieś owady i cały teren wokół domu Nahuma ogarnął koszmarny bzyczących i pełzających po nocach stworów. Większość z nich miała niezwykle kształty i ruchu, a ich nocne obyczaje przeczyły wszystkim dotychczasowym doświadczeniom. Cała rodzina Gardnerów zaczęła czegoś po nocach wypatrywać, choć nikt nie potrafiłby określić, czego wypatruje. Wtedy właśnie pojęli, że Thaddeus miał rację mówiąc o drzewach. Pani Gardner również to zauważyła patrząc przez okno na ciężkie gałęzie klonu na tle księżycowego nieba. Gałęzie najwyraźniej się kołysały się, choć wcale nie było wiatru. To na pewno z powody podziemnych soków. Wszystko, co rosło teraz, było dziwne. Następnego odkrycie dokonał ktoś spoza rodziny Nahuma. Oni byli już tak z tym zjawiskiem oswojeni, że przestali reagować. Bardzo to ich przygnębiało, a czego sami nie dostrzegli, zostało dostrzeżone przez bojaźliwego komiwojażera z Bostonu, który pewnej nocy przejeżdżał tamtędy nieświadom krążących po wsi plotek. To, co opowiedział w Arkham, zamieszczono w krótkim artykule w "Gazette"; wtedy właśnie wszyscy, wraz z samym Nahumem, ujrzeli to po raz pierwszy. Noc była ciemna, lampy u wozów świeciły słabo, ale wokoło farmy w dolinie, którą wszyscy rozpoznali jako farmę Nahuma, ciemność nie była tak gęsta. Przyćmiony, a jednak wyraźny blask zdawał się ogarniać roślinność, trawę, liście i kwiaty, a w pewnym momencie jakaś fosforyzująca zjawia zaczęła się przesuwając ukradkiem po podwórku, koło stodoły.

Trawa, jak do tej pory, wydawała się nietknięta i krowy pasły się swobodnie na łące koło domu, ale pod koniec maja mleko stało się niesmaczne. Nahum popędził krowy na wzgórze i wtedy mleko odzyskało smak. Wkrótce potem trawa i liście zmieniły się w sposób dostrzegalny dla oka. Poszarzały, zaczęły wykazywać przedziwną kruchość. Ammi był teraz jedyną osobą, która odwiedzała tę farmę, ale jego wizyty zdarzały się coraz rzadziej. Kiedy skończyły się lekcje w szkole, Gardnerowie zostali praktycznie odcięci od świata i tylko od czasu do czasu prosili Ammiego o załatwienie im czegoś w mieście. Stan ich zdrowia został dziwnie zachwiany, tak pod względem fizycznym, jak i umysłowym, toteż nikt się nie zdziwił, kiedy rozniosła się wieść, że pani Gardner postradała zmysły.

Stało się to w czerwcu, w rok po spadnięciu meteorytu. Biedna kobieta zaczęła krzyczeć, że widzi coś w powietrzu, ale nie potrafiła określić, co to jest. W jej majakach nie było ani jednego rzeczownika, same czasowniki i zaimki. Wszystko się ruszało, zmieniało i drżało, a w uszach dzwoniło od jakichś impulsów, która nie były dźwiękami. Coś jej odebrano - została czegoś pozbawiona - choć ją opasywało, a nie powinno - ktoś powinien to zdjąć - noc już nie była spokojna - ściany i okna gdzieś się przesunęły. Nahum nie oddał jej do zakładu dla psychicznie chorych, pozwalając jej krążyć po domu, dopóki nie zaczęła zagrażać otoczeniu. Nawet kiedy zmienił się wyraz jej twarzy, toż na to nie zareagował. Ale chłopcy zaczęli się jej bać, a kiedy Thaddeus omal nie zemdleł na widok grymasów, jakie zaczęła do niego robić, Nahum zamknął żonę na poddaszu. W lipcu przestała mówić i pełzała na czworakach, a pod koniec miesiąca Nahum zauważył rzecz zupełnie niesamowitą, że w mroku od jego żony emanuje blask, tak jak od całej otaczającej go roślinności, co widział teraz już wyraźnie.

Tuż przed tym wydarzeniem rozległ się tupot koni. Coś je rozbudziło w nocy, wierzgały kopytami w boksach i rżały przerażająco. Nie było sposobu, aby je uspokoić, a kiedy Nahum otworzył wrota stajni, wyrwały się jak przestraszone daniela z lasu. Tydzień trwało, nim natrafiono na ich ślad, a gdy je odnaleziono, były zupełnie bezużyteczne i nie do okiełznania. Jakaś klapka zamknęła się w ich mózgu i wszystkie po kolei trzeba było zastrzelić dla ich własnego dobra. Nahum na czas sianokosów pożyczyc kania od Ammiego, lecz koń za nic nie chciał się zbliżyć do stodoły. Rzucił się, opierał i rżał, aż w końcu Nahum musiał wprowadzić go na podwórko, a mężczyźni sami przyciągnęli wóz w pobliże szopy, gdzie było najwygodniej wrzucać siano. A tymczasem wszystko,

co rosło, szarzało i kruszyło się. Nawet kwiaty o tak przedziwnych barwach teraz poszarzały, tak samo jak owoce, które jednocześnie pomarszczyły się i straciły smak. Kwiaty astrów i złotych różek były także szare i zniekształcone, a róże, cynie i malwy rosnące przed domem wyglądały tak okropnie, że najstarszy syn Nahuma, Zenas, ściał wszystkie bez wahania. Owe dziwnie zuchwałe owady wyginęły już do tej pory, a pszczoły opuściły ule i przeniosły się do lasu.

We wrześniu cała roślinność przemieniła się w szary pył. Nahum lękał się, że wszystkie drzewa uschną, nim trucizna zaniknie w ziemi. Żona miała teraz okresy, kiedy przerażająco krzyczała, pozostali członkowie rodziny żyli w stanie ciągłego napięcia. Unikali ludzi, chłopcy nie chodzili do szkoły, choć nauka już się rozpoczęła. To Ammi podczas którejś ze swych coraz rzadszych wizyt u Nahuma odkrył, że woda w studni jest niedobra. Była niesmaczna, cuchnąca i słona, poradził więc przyjacielowi, aby wykopał drugą studnię gdzieś wyżej i żeby stamtąd czerpał wodę do czasu, aż ziemia na niższym terenie będzie się nadawała do użytku. Nahum jednak zlekceważył tę radę, zatracił już wrażliwość na wszystko, co dziwne i nieprzyjemne. Nadal czerpał wraz z chłopcami skażoną wodę, wszyscy pili ją w ciszy i machinalnie, podobnie jak spożywali skromne, byle jak przyrządzone posiłki i podobnie jak wykonywali niewdzięczne, monotonne zajęcia dzień po dniu w poczuciu ich bezsensowności. Wszystkich ogarnęła jakaś pełna ośpienia rezygnacja, tak jakby wędrowali w innym świecie pomiędzy dwoma szpalerami bezimiennej straży ku nieuchwytnemu, lecz nieuniknionemu przeznaczeniu.

U Thaddeusa wystąpił obłąd we wrześniu, kiedy wracał od studni. Poszedł z wiaderkiem, a wrócił z pustymi rękoma, wymachując nimi i krzycząc, to znów chichocząc lub szepcząc o "ruszających się kolorach tam w studni". Dwoje w rodzinie ogarnęło obłąd, ale Nahum znosił to dzielnie. Pozwolił chłopcu biegać swobodnie przez tydzień, dopóki nie zaczął się potykać i rozbijać, a wtedy zamknął go w izbie na poddaszu naprzeciw matki. Ich krzyk spoza zamkniętych drzwi był przerażający, zwłaszcza dla małego Merwina, któremu wydawało się, że rozmawiają ze sobą jakimś straszliwym językiem nie z tego świata. U Merwina rozwinęła się chorobliwa wyobraźnia, a jego niepokój jeszcze się spotęgował po zamknięciu brata, który był jego najbliższym kompanem.

Niemal w tym samym czasie zaczęły padać zwierzęta. Drób pokrył się szarymi piórami i wyzdychał, a mięso okazało się zupełnie suche i cuchnące. Świnie porosły do niespotykanych rozmiarów, po czym nagle zaczęły w nich zachodzić jakieś zmiany, które trudno byłoby określić. Ich mięso tak samo okazało się niejadalne i Nahum był już u kresu sił. Wiejski weterynarz za nic by się nie zbliżył do tego miejsca, a weterynarz z Arkham był najwyraźniej zaskoczony. Świnie również przybrały barwę popiołu i zaczęły się rozpadać na kawałki jeszcze przed zakończeniem żywota, a ich oczy i ryje uległy przedziwnym zmianom. Było to zupełnie niewytłumaczalne, bo przecież nigdy im nie podawano skażonego pokarmu. Z kolei zaczęło się źle dziać z krowami. Ich skóra w niektórych miejscach, a nawet na całej powierzchni, zaczęła się marszczyć i kurczyć, a następnie zapadać, po czym następował jej rozkład. W ostatnim stadium - a kończyło się to śmiercią - sierść krów popieląła i kruszyła się podobnie jak u świń. Nie mogło być mowy o zatruciu, bo wszystkie te przypadki zdarzyły się w zamkniętej szczelnie oborze. Nie wchodziła też w grę choroba wirusowa spowodowana ukąszeniem, bo jakaż żywa istota na tej ziemi może przeniknąć przez ścianę? Musiała więc to być po prostu choroba, ale jakaż to choroba mogła wywołać aż takie objawy, tego niepodobieństwem było odgadnąć. Do żniw nie przetrwało ani jedno zwierzę, bydło i drób wyginęły, a psy uciekły. Którejś nocy wszystkie psy, a było ich trzy, zniknęły i słuch o nich zaginął. Pięć kotów wywędrowało jeszcze wcześniej, ale ich nieobecności prawie nie dostrzegano, bo i myszy wyginęły, tylko pani Gardner kwiliła jak małe kocięta.

Dziewiętnastego października Nahum ledwie się słaniając na nogach przyszedł do Ammiego ze straszną wieścią. Thaddeus zmarł na poddaszu, a stało się to w sposób zupełnie nieprawdopodobny. Nahum wykopał grób na ogrodzonej ziemi za farmą i tam pochował to, co znalazł. Nic nie mogło się przedostać z zewnątrz, bo małe okratowane okienko i zamknięte drzwi były nietknięte; a stało się z nim to samo, co z bydlęm w oborze. Ammi i jego żona starali się jak tylko mogli pocieszyć złamanego człowieka, ale sami byli głęboko wstrząśnięci. Całą rodziną Gardnerów zawładnął paniczny lęk, wszystko, czego dotyczyli, sama obecność choćby jednego spośród nich w domu była jakby tchnieniem owych bezimiennych i niewysłowionych regionów. Ammi, mimo wewnętrznych oporów, poszedł jednak z Nahumem do jego domu i starał się uspokoić szlochającego małego Merwina. Zenosą nie trzeba było uspokajać. Ostatnio nic nie robił, tylko patrzył gdzieś w dal i posłusznie wykonywał polecenia ojca. Jego los wydał się Ammiemu szczególnie żalospny. Co pewien czas na krzyki Merwina rozlegał się jakby w odpowiedzi cichy jęk z poddasza. Nahum wyznał zaskoczonemu przyjacielowi, że jego żona coraz bardziej słabnie. Pod wieczór Ammi postanowił wrócić do domu, bo nawet uczucie przyjaźni nie mogło go zatrzymać w tym miejscu, gdzie cała roślinność zaczynała fosforyzować, a drzewa kołysać się mimo bezwietrznej nocy. Na szczęście Ammi nie miał zbyt bujnej wyobraźni. Mimo to umysł jego trochę ucierpiał, gdyby jednak potrafił powiązać i zgłębić te wszystkie niesamowitości, niewątpliwie postradałby zmysły już na całe życie. O zmierzchu pospieszył do domu, a krzyki obłąkanej kobiety i znerwicowanego dziecka przeraźliwie i nieustannie brzmiały mu w uszach.

W trzy dni później wczesnym rankiem Nahum wpadł do kuchni Ammiego i znowu, tym razem pod nieobecność gospodarza, jękając się opowiedział rozpaczliwą historię, której pani Pierce wysłuchiwała z lękiem ściskającym jej serce. Chodziło o Merwina. Zniknął. Wyszedł późną nocą z latarką i wiaderkiem do wody i już nie wrócił. Przez całe dni snuł się osowiały i prawie nieświadomy tego, co się wokół niego dzieje. Na wszystko reagował krzykiem. Tej nocy rozległ się przeraźliwy krzyk na podwórku, ale nim ojciec dopadł drzwi, chłopca już nie było. Nahum nie dostrzegł nigdzie światła latarki ani też śladu chłopca. Wtedy Nahum był przekonany, że latarka i wiadro zniknęły, ale o świecie, powróciwszy z całonocnych poszukiwań po pobliskich lasach i polach, natknął się na coś dziwnego koło studni. Leżała tam jakaś zgnieciona i stopiona masa żelaza, zapewne pozostałość po latarce, podczas gdy zakrzywiony pałak i poskręcane metalowe obręcze, lekko nadtopione, były zapewne pozostałością po wiadrze. I to wszystko. Nahum nie pojmował, co się stało, pani Pierce miała pustkę w głowie, a Ammi, który właśnie wrócił do

domu i usłyszał całą opowieść, także nic z tego nie rozumiał. Merwin zniknął i nie było sensu mówić o tym okolicznym ludziom, bo wszyscy stronili teraz od Gardnerów. Ludzi w Arkham nie należało o tym powiadać, bo wszystko wyśmiewali. Thad zniknął, a teraz znów Merwin. Coś pełzało i pełzało, i tylko czekało, aby ktoś je dojrzał i usłyszał. Nahum obawiał się, że i jego to spotka, prosił więc Ammię, aby zaopiekował się jego żoną i Zenasem, gdyby go przetrwali. Jest to zapewne kara, ale nie wiedział, za co go spotyka. bo przecież wydawało mu się, że zawsze starał się postępować zgodnie z wolą Bożą.

Ponad dwa tygodnie Ammi nie widział Nahuma, aż w końcu, zaniepokojony, przemógł lęk i wybrał się do Gardnerów. Z wielkiego komina nie unosił się dym i przez moment Ammi spodziewał się najgorszego. Cała farma wyglądała szokująco - trawa spopieliała i uschła, zwiędłe liście leżały rozsypane po ziemi, kruche resztki winorośli zwiisały ze starych murów i szczytów, a wielkie nagie drzewa wspinały się w listopadowe niebo z rozmyślną wrogością, która, jakby się zdawało, brała się z pewnej drobnej zmiany w pochyleniu gałęzi. Jednakże Nahum mimo wszystko żył. Był słaby, leżał na łóżku w nisko sklepionej kuchni, lecz w pełni świadom wszystkiego, mógł jeszcze nawet wydawać proste dyspozycje Zenasowi. W domu było wprost lodowato; widząc, że Ammi aż się wstrząsnął z zimna, gospodarz zawałał szybko na Zenasa, aby przyniósł więcej drzewa. Doprawdy, drzewo było tu potrzebne, bo przepastny piec świecił pustką, nikt w nim nie rozniecił ognia i tylko kłęby sadzy fruwały, porziewane przez wiatr huczący w kominie. Nahum spytał przyjaciela, czy zadowolony go ta dodatkowa naręcz drzewa i wtedy dopiero Ammi zauważył, co się stało. W końcu ten najmocniejszy pień też został złamany i nieszczęśliwy farmer był już nieczuły na wszystkie kolejne uderki.

Ammi, zadając ostrożne pytania, nie dowiedział się jednak dokładnie, kiedy zniknął Zenas. - W studni... żyje w studni... - tyle tylko był w stanie powiedzieć otępiąły ojciec. Nagle Ammiemu przyszła na myśl obłąkana żona gospodarza. - Nabby? Przecież jest tutaj! - padła pełna zdumienia odpowiedź i Ammi zrozumiał, że sam musi ją odnaleźć. Pozostawwszy bezradnego, bełkocącego człowieka na łóżku, zdjął klucze wiszące na wóździu przy drzwiach i po skrzypiących schodach wszedł na poddasze. Panował tam cuchnący zaduch, ale znikąd nie dochodziły żadne odgłosy. Spośród czterech drzwi tylko jedno było zamknięte, zaczęła więc dopasowywać po kolei wszystkie klucze wsunięte na kółko. Trzeci wydał się właściwy i po paru nieudanych próbach wreszcie otworzył niskie białe drzwi.

Wewnątrz panował kompletny mrok, gdyż okienko było małe i zabezpieczone kratą z żerdzi; Ammi nic nie mógł dostrzec na podłodze z szerokich desek. Zaduch był nie do zniesienia, a żeby móc wejść głębiej. Ammi musiał cofnąć się na chwilę do drugiej izby i odetchnąć świeżym powietrzem. Kiedy wszedł po raz drugi, zauważył coś ciemnego w kącie, a przyjrzawszy się dokładniej, krzyknął. W tym momencie chmura przesłoniła okno, a po chwili poczuł, że owionęto go jakieś lepkie opary. Przed oczami wirowały mu najdziwniejsze kolory; gdyby nie poraził go paniczny lęk, skojarzyłby to z kulą w meteorycie, którą rozbił geologiczny młotek, i ze schorzałymi roślinami wybujałymi wiosną. W obecnym jednak stanie potrafił tylko myśleć o tej bluźnierczej potworności, z jaką się zetknął i która bez wątpienia stała się udziałem nieznanego losu Thaddeusa i całego dobytku. W tym okropieństwie najstraszniejsze było to, że owa rzecz, choć się stopniowo rozpadała, była jednak przez cały czas w powolnym i nieustannym ruchu.

Ammi nie podał mi żadnych innych szczegółów tej sceny, ale kształt leżący w kącie izby już się nie pojawił w jego opowieści jako poruszający się przedmiot. Są sprawy, których nie można wspominać, a to, co się czasem dokonuje wśród prostych ludzi, bywa nieraz surowo osądzane przez prawo. Zrozumiałem, że nic, co by się poruszało, nie zostało w izbie na poddaszu i że pozostawienie czegokolwiek, zdolnego do poruszania się, byłoby czynem równie okrutnym, jak skazanie jakiegokolwiek istoty na wieczne tortury. Tylko twardy farmer mógł temu stawić czoło, ktoś inny albo by zemdlął, albo postradał zmysły, Ammi jednak całkiem przytomnie wszedł przez niskie drzwi i zamknął za sobą przekłętą tajemnicę. Postanowił się teraz zająć Nahumem; trzeba go odżywić, zaopiekować się nim i przenieść w takie miejsce, żeby go można było doglądać.

Ammi zaczął właśnie schodzić po stopniach, gdy dobiegł go z dołu jakiś głuchy łoskot. Wydało mu się, że usłyszał krzyk nagle stłumiony, i nerwowo przypomniał sobie lepkie opary, które jakby go omiotły w tej strasznej izbie na górze. Co znowu się tu dostało i skąd ten krzyk? Przystanął dziwnie przerażony i usłyszał na dole jakiś hałas. Jakby coś ciężkiego wleczono po ziemi; dochodził też najobrzydliwszy, jaki tylko można sobie wyobrazić, lekki odgłos szatańskiego i plugawego ssania. W ogromnym napięciu skojarzył to w sposób niewytłumaczalny z tym, co widział na górze. Dobry Boże! Cóż to za okropny świat-mara? Gdzież się zabłąkał? Nie miał odwagi zrobić kroku ani do przodu, ani do tyłu, tylko stał drżąc na spowitym mrokiem podeście schodów. Najmniejszy szczegół tej sceny płonął mu w mózgu. Odgłosy, świadomość koszmarnego oczekiwania, ciemność, strome, wąskie schody i... o łaskawe Nieba! - słaby, ale niezaprzeczalny blask emanujący z wszystkiego, co było drzewem w tym domu: schody, ściany, sterczące listwy i belki.

Wtem rozległo się przeraźliwe rżenie konia Ammię, potem tupot kopyt i turkot kół, co świadczyło o ucieczce w panicznym lęku. Po chwili ani konia, ani wozu nie było już słychać, a przerażony Ammi stał na ciemnych schodach próbując odgadnąć, co się dzieje. Nie miał jednak pojęcia. Dały się słyszeć jakieś inne odgłosy z zewnątrz. Jakiś plusk wody... zapewne w studni. Pozostawił tam swojego konia, Hero, nie uwiązanego, a koło od wozu musiało zapewne otrzeć się o przykrycie studni i uderzyć w ocembrowanie. A to obmierzłe stare drewno wciąż fosforowało w całym domu. Boże! Jakże wiekowy był ten dom! Zbudowano go jeszcze przed 1670 rokiem, a dwuspadowy dach nie później niż w 1730.

Ciche szuranie po podłodze na dole rozbrzmiewało teraz wyraźnie i Ammi mocniej zacisnął rękę na grubym kiju, który wziął z poddasza nie widząc właściwie, w jakim celu. Zebrawszy powoli odwagę wszedł po schodach i ruszył śmiało do kuchni. Ale nie musiał wchodzić do środka, bo tego, czego szukał, już tam nie było. Wyszło mu na



spotkanie, wciąż jeszcze żywe. Czy się przyczoiło, czy zostało wywleczone przez jakieś niezziemskie siły, na to Ammi nie potrafiłby odpowiedzieć; ale była w tym śmierć. Wszystko stało się w przeciągu pół godziny, ale rozpad, szarość i zanik wykazywały już zaawansowane stadium. Było to tak straszliwie kruche, że suche kawałki spadały jeden po drugim. Ammi nie mógł się przemóc, aby tego dotknąć, tylko wpatrywał się przerażony w zniekształconą parodię czegoś, co było niegdyś twarzą. - Co się stało... Nahum... co się stało? - szepnął, a rozpadłe, bełkoczące wargi zdołały jeszcze wydobyć skrzeczącym głosem ostatnie słowa:

- Nic... nic... kolor... pali... zimny i mokry, pali... był w studni... Widziałem... coś jakby dym... jak kwiaty tej wiosny... studnia świeciła nocą... Thad i Merwin, i Zenas... wszystko, co żywe... wysysa życie z wszystkiego... w tym kamieniu... to musiało przybyć z tym kamieniem... zatrulo całe miejsce... nie wiem, czego chce... ta okrągła rzecz, którą ludzie z college'u wydobyli z kamienia... rozbili... to był ten sam kolor... taki sam jak kwiaty i rośliny... musiało ich być więcej... nasiona... nasiona... rosły... zobaczyłem pierwszy raz w tym tygodniu... musiało mocno podziałać na Zenasa... był to duży chłopak, pełen życia... mąci umysł, a potem chwyta wszystko... spala... w studni... miałeś rację, że to zła woda... Zenas już nigdy nie wróci od studni... nie może uciec... wciąga... wiadomo, że coś nadchodzi, ale nie ma rady... widziałem to parę razy, jak zabrano Zenasa... gdzie Nabby, Ammi?... z moją głową jest źle... nie wiem, kiedy dałem jej jeść... dopadnie i ją, jak nie zadbamy... tylko kolor... jej twarz dostaje tego koloru pod wieczór... to pali i wysysa... pochodzi skądś, gdzie wszystko jest inne niż tutaj... jeden z profesorów tak mówił... miał rację... uważaj, Ammi, to jeszcze nie koniec... wysysa życie...

Ale to już było wszystko. To coś nie mogło już więcej mówić, ponieważ się rozpadło. Ammi położył obrus w czerwoną kratę na tym, co pozostało, i wycofał się tylnymi drzwiami. Po stoku wzgórze wszedł na dziesięcioakrowe pastwisko i potykając się dotarł do domu drogą przez lasy. Nie potrafił przejść koło studni, od której uciekł jego koń. Popatrzył na nią przez okno i przekonał się, że nie brakuje ani jednego kamienia w ocembrowaniu. A więc pozostawiony bezpiecznie wóz nie naruszył studni - plusk był spowodowany czymś innym - czymś, co najpierw zrobiło to z Nahumem, a potem wpadło do studni...

Koń i wóz znalazły się w domu jeszcze przed powrotem Ammiego, a żona prawie umierała z niepokoju. Uspokoił ją bez żadnych wyjaśnień, po czym wyruszył raz jeszcze do Arkham, by zawiadomić władze, że rodzina Gardnerów przestała istnieć. Nie wdawał się w żadne szczegóły, ale po prostu powiadomił o śmierci Nahuma i Nabby, bo o Thaddeusu już wszyscy wiedzieli, i wspominał tylko, że przyczyną wydaje się być ta sama choroba, jaka dotknęła cały dobytek Nahuma. Powiadomił też, że Merwin i Zenas zniknęli. Posypały się pytania ze strony policji i w rezultacie Ammi musiał pojechać do Gardnerów z trzema funkcjonariuszami, a także z koronerem, lekarzem i weterynarzem, który leczył u Nahum zwierzęta. Pojechał niechętnie, bo zbliżało się już popołudnie, i lękał się, że zastanie ich wieczór w tym przeklętym miejscu, ale z taką liczną grupą ludzi było mu trochę różniej.

Sześciu mężczyzn wyruszyło dwukonnym wozem za wozem Ammiego i o czwartej przybyli do farmy dotkniętej zarazą. Choć funkcjonariusze przywykli do najokropniejszych widoków, wszystkich głęboko poruszyło to, co znaleźli na poddaszu i pod obrusem w czerwoną kratę na podłodze w kuchni... Cała farma i spopieliałe pustkowie dokoła przedstawiały opłakany widok, ale te dwa ciała w rozpadzie przekraczały wszelką wyobraźnię. Nikt nie mógł długo na nie patrzeć, nawet lekarz orzekł, że niewiele tu jest do zbadania. Wyznał, że można, oczywiście, przeprowadzić analizę próbek, zajął się więc ich pobraniem. W laboratorium w college'u, gdzie zawieziono próbki, dokonano nieprawdopodobnego odkrycia. Pod spektroskopem obie próbki wykazały nieznane widmo, w którym większość zdumiewających kręgów była dokładnie taka sama, jakie objawił dziwny meteoryt w ubiegłym roku. Właściwość emitowania takiego widma zaniknęła w ciągu miesiąca, a pozostały pyłek składał się głównie z alkalicznych fosforanów i węglanów.

Ammi nie wspominałby nawet o studni, gdyby przewidział, że zechcą jeszcze coś zrobić. Słońce już zachodziło, nie mógł się doczekać powrotu do domu. Ale jednocześnie nie mógł się też powstrzymać, aby raz jeszcze nie zerknąć nerwowo na kamienne obramowanie studni przy wielkim żurawiu, a gdy detektyw zapytał go, dlaczego się ogląda, wyznał, że Nahum obawiał się czegoś w głębi studni - tak bardzo, że nawet nie chciał myśleć o poszukiwaniu Merwina i Zenasa. Po tym wyznaniu policjanci postanowili wypompować wodę ze studni i sprawdzić, co się w niej kryje. Tak więc Ammi drząc musiał jednak czekać i patrzeć, jak wyciągają wiadro po wiadrze, a woda wsiąka w ziemię. Rozchodził się taki fetor, że musieli zatykać nosy. Nie trwało to aż tak długo, jak się obawiał, bo okazało się, że wody jest niezwykle mało. Nie ma sensu rozwodzić się dokładnie nad tym, co znaleźli. I Merwin, i Zenas tam się znajdowali, ale były to tylko szczątki szkieletów. Był tam również młody jeleni i duży pies, też w stanie szczątkowym, a także sporo kości różnych małych zwierząt. Muł i szlam na dnie były niesamowicie grzaskie i bulgocące, a człowiek, który spuścił się do studni z długim kijem, podtrzymywany pod rękę przez innych, stwierdził, że kij grzęźnie w mulę głęboko i w ogóle nie ma twardego gruntu.

Zapadł zmierzch, wyniesiono z domu latarki. Wkrótce jednak przekonano się, że już nic więcej nie dobędą ze studni, wobec czego wszyscy weszli do domu i w bawialni zatopili się w rozmowie, podczas gdy blask widmowego półksiężyca igrał co pewien czas na szarym dookólnym pustkowie. Każdy był do głębi poruszony tym wydarzeniem, nikt nie potrafił odnaleźć jakiegoś wspólnego, a przekonującego ogniwa, które połączyłoby dziwny stan roślinności, nieznanej choroby zwierząt i ludzi, niepojętą śmierć Merwina i Zenasa w skażonej studni. Słyszeli pogaduszki we wsi, to prawda; ale nie mogli uwierzyć, że zaistniało coś niezgodnego z prawami natury. Meteoryt bez żadnej wątpliwości zatrul ziemię, ale choroba ludzi i zwierząt, którzy nie jedli niczego, co rosło na tej ziemi, stanowiła sprawę odrębną. Czyżby to była woda ze studni? Bardzo możliwe. Należałoby ją zbadać. Ale jakież to szaleństwo spowodowało, że dwaj chłopcy rzucili się do studni? Oba przypadki były tak podobne, a szczątki wskazywały, że obaj zmarli z powodu spopieliałego rozkładu. Dlaczego wszystko tutaj było spopieliałe i kruche?



To właśnie koroner, siedzący przy oknie, pierwszy zauważył poświatę wokół studni. Zapadł już wieczór, a cały odrażający teren wokoło zdawał się być rozświetlony czymś więcej aniżeli blaskiem księżyca; ta nowa poświata była wyraźna i łatwa do sprecyzowania, dobywała się z czarnej otchłani studni, niczym słabe światło pochodni, i odbijała się też we wszystkich małych kałużach, jakie się potworzyły po wylaniu wody. Dziwny miała kolor, a kiedy wszyscy skupili się przy oknie, Ammi nagle drgnął. Odblask odrażającej miazgi był mu dobrze znany. Już widział ten kolor i drżał na samą myśl, co może oznaczać. Widział go w tej ohydnej kruchej kuli w aerolicie dwa lata temu, widział go wiosną w szaleńczo wybijającej roślinności i wydało mu się, że widział go też przez mgienie oka owego ranka przy małym okratowanym okienku w tej strasznej izbie na poddaszu, gdzie zdarzyła się rzecz zupełnie nieoczekiwana. Rozbłysnęła na sekundę, a potem owionęła Ammię jakąś lepka, ohydna mgła - i wtedy właśnie coś tego koloru zniszczyło biednego Nahuma. Powiedział to na koniec - powiedział, że było to takie same jak kula i rośliny. Potem słychać było ucieczkę konia i plusk wody w studni - a teraz ze studni buchał w noc jasny zdradziecki płomień o tym samym demonicznym kolorze.

Można podziwiać przytomność Ammię, który nawet w tak krytycznym momencie potrafił zastanawiać się nad sprawą tak ściśle naukową. Zastanawiał się nad tym, dlaczego opary, jakie widział za dnia na tle okna wychodzącego na poranne niebo, i nocny wyziew w postaci fosforyzującej mgły na tle czarnego, przeklętego krajobrazu budziły w nim te same skojarzenia. To nie w porządku... to wbrew naturze... i przypomniały mu się straszne słowa przerażonego przyjaciela: "Pochodzi skądś, gdzie wszystko jest inne niż tutaj... jeden z profesorów tak mówił..."

Wszystkie trzy konie, uwiązane do dwóch uschniętych młodych drzewek przy drodze, zaczęły teraz rzeć przeraźliwie i wierzgać. Woźnica rzucił się do drzwi, żeby coś zaradzić, lecz Ammi położył mu drżącą rękę na ramieniu.

- Nie wychodź - szepnął. - Nasza wiedza tego nie obejmuje. Nahum mówił, że w studni coś żyje, co wysysa życie z wszystkiego. Mówił, że musi to być coś, co wyrosło z kuli, takiej samej, jaką widzieliśmy w meteorycie, który spadł w zeszłym roku w czerwcu. Wysysa i spala, mówił, jest to obłok tego samego koloru, jak ten, co teraz tam błyszczy, a który ledwie dostrzegamy i nie potrafimy powiedzieć, co to jest. Nahum uważał, że to karmi się wszystkim, co żyje, i ciągle rośnie w siłę. Mówił, że widział to w zeszłym tygodniu. To musi być coś, co pochodzi z daleka, skądś z nieba, to samo mówili ludzie z college'u w zeszłym roku o meteorycie. Tak jest zbudowany i takie ma działanie, że nie może pochodzić z Boskiego świata. Musi być ze sfer pozaziemskich.

Wszyscy więc stali w miejscu, zastanawiając się, co robić, a światło dobywające się ze studni coraz bardziej się nasilało, zaś konie wierzgały i rżały jak oszalałe. Były to naprawdę straszne chwile; sam dom, stary i nawiedzony, był przerażający, a do tego jeszcze cztery kupki szczątkach ludzkich - dwie w domu i dwie ze studni - w drewnianej szopie, no i ten snop niepojętego i opalizującego światła nie z tej ziemi dobywający się z mulistego dna studni przed domem. Ammi zatrzymał woźnicę pod wpływem impulsu, nie pamiętał w tym momencie, że jemu samemu przecież nic się nie stało wtedy na poddaszu, kiedy to owionęła go lepka kolorowa mgła, ale może właśnie dobrze, że tak się zachował. Nikt się nigdy nie dowie, co działo się wokół domu tej nocy; bo chociaż to bluźnierstwo z innego świata jak dotąd nie wyrządziło szkody nikomu o niezachwianym umyśle, trudno przewidzieć, co jeszcze mogło zrobić w tej ostatniej chwili, zwłaszcza przy pomnożonej sile i wyraźnych oznakach zakiełowanego celu, jaki miało wkrótce objawić pod lekko zachmurzonym, ale rozjaśnionym poświatą księżyca niebem. Nagle jeden z detektywów, stojących przy oknie, stłumił okrzyk. Wszyscy spojrzeli na niego, a następnie w stronę miejsca, które tak nagle przykuło jego uwagę. Nie trzeba było słów. To, co rozpowiadano we wsi, nie budziło już teraz wątpliwości, a że potem każdy z uczestników tej wyprawy potwierdzał to cichym szeptem, przestano w ogóle wspominać w Arkham owe dziwne dni. Trzeba zaznaczyć, że o tej godzinie wieczornej w ogóle nie było wiatru. Potem dopiero zerwał się lekki wietrzyk, ale nie wtedy. Nawet nie drgnęły suche wierzchołki pozostałego jeszcze żywopłotu gorczyca, szare i wyblakłe, a także obramowanie daszku stojącego wozu dwukonnego. A jednak pośród pełnego napięcia, bezbożnego spokoju kołysały się wysokie, nagie gałęzie wszystkich drzew rosnących na podwórku. Wyginały się chorobliwie i spazmatycznie, wpinając się konwulsyjnie i epileptycznie w rozświetlone księżycowym blaskiem chmury. Bezsilnie drapały schorzałe powietrze, jakby szarpane jedną wspólną i niewidzialną nicią, a jakieś podziemne makabryczne stwory wily się i walczyły pod czarnymi korzeniami.

Przez chwilę wszyscy wstrzymali oddech. A wtedy chmura ciemna i głęboka przesłoniła księżyc i natychmiast zatarły się zarysy szponiastych gałęzi. wszyscy krzyknęli; wszyscy wydali z siebie stłumiony grozą, ochrypli i prawie identyczny okrzyk. Lęk nie opuścił nikogo, choć szponiaste, wspinające się w niebo gałęzie przestały być widoczne, a w gęstej, pełnej grozy ciemności ujrzeni na wysokości wierzchołków drzew tysiące wijących się maleńkich punkcików bladej i bezbożnej poświaty, która obejmowała wszystkie gałęzie niczym ognie św. Elma albo blask spływający na głowę apostołów podczas Zielonych Świątek. Była to monstrialna konstelacja nieziemskiego światła, przypominająca wilki rój robaczek świętojańskich, tańczących piekielną sarabandę ponad przeklętym bagniskiem; ich kolor przypominał tego niepojętego intruza, na którego Ammi już się natknął i przed którym drżał. A tymczasem snop fosforescencji dobywający się ze studni coraz bardziej jaśniał i napełniał skupionych w gromadkę mężczyzn poczuciem zagłady i potworności, przerastających wszelkie wyobrażenia, do jakiego zdolne były ich umysły. Już nie tylko świecił, ale wytryskał światłem; a kiedy ten bezkształtny strumień nieprawdopodobnego koloru wy dostał się ze studni, wszyscy odnieśli wrażenie, że uniósł się prosto w niebo.

Weterynarz zadrżał i podszedł do frontowych drzwi, aby je podeprzeć ciężkim drągiem. Ammi drżał wcale nie mniej i chcąc zwrócić uwagę wszystkim na coraz większą iluminację drzew, musiał się posługiwać gestami, gdyż nie mógł zapanować nad głosem. Konie wierzgały i rżały przeraźliwie, ale nikt, za żadną cenę, nie wysunąłby głowy z tego starego domostwa. Chwilami drzewa świeciły jeszcze mocniej, a ich niespokojne gałęzie zdawały się

wyciągać coraz wyżej i wyżej. Żuraw przy studni też świecił, a jeden z policjantów wskazał na drewniane szopy i ule znajdujące się od zachodniej strony studni. I one zaczynały już świecić, ale przywiązane wozy przybyłych tu mężczyzn były jeszcze nie tknięte. Wtem rozległ się szaleńczy tumult i stukot na drodze; Ammi przykręcił klamkę, żeby lepiej było widać, co się dzieje na zewnątrz, i wtedy okazało się, że rozszalałe siwki złamały drzewko, do którego były uwiązane, i wciekły wraz z wozem.

Szok rozwiązał języki, dały się słyszeć pełne zakłopotania szeptu. - Rozciąga się to na wszystko, co żyje wokoło - dobył z siebie głos lekarz. Nikt na to nie zareagował, ale człowiek, który spuszczał się do studni, zauważył, że jego długi kij musiał chyba poruszyć coś zupełnie niepojętego. - To było okropne - dodał. - Zupełnie nie wyczuwało się dna. Tylko szlam i bąbelki, a głębiej jakby coś tkwiło przyczajone. - Koń Ammiego wciąż jeszcze wierzgał i rżał niesamowicie na drodze, prawie zagłuszając cichy, drżący głos swego pana, który bełkotał bezładnie wspomnienia: - To się bierze z kamienia... urosło tam głęboko... pochłonie wszystko, co żyje... żywiło się nimi, umysłem i ciałem... Thad i Merwin, Zenas i Nabby... Nahum był ostatni... oni wszyscy pili wodę... to ich zmogło... pochodzi spoza tego świata, gdzie wszystko jest inne niż tutaj... a teraz wraca do siebie...

W tym momencie, kiedy kolumna nieznanego na tym świecie koloru rozbłysła nagle z całą siłą i zaczęła przybierać najbardziej fantastyczne kształty, przekraczające wszelką wyobraźnię, a które później każdy opisywał inaczej, uwiązany Hero wydał taki odgłos, jakiego nikt spośród obecnych jeszcze w życiu nie słyszał u konia, ani przedtem, ani potem. Wszyscy siedzący w tej izbie a niskim pułapie zakryli uszy, zaś Ammi odwrócił się od okna, panicznie przerażony. Słowa nie byłyby zdolne przekazać tego widowiska - bo kiedy Ammi wyjrzał znowu przez okno, biedne zwierzę leżało bezwładnie na oświetlonej księżycem ziemi pomiędzy rozłożonymi dyszlami. I tak Hero pozostał, póki nie pogrzebali go następnego dnia. Teraz jednak nie było czasu na żale, bo detektyw zwrócił magle uwagę, że coś potwornego zaczyna się dzieć w tym domu. Z chwilą przygaszenia lampy fosforescencja zaczęła ogarniać całą izbę. Świeciły się szerokie deski w podłodze i leżący na niej chodnik, a także futryny okien z małymi szybkami. Ten dziwny blask pełzał w górę i w dół po wystających belkach w rogach izby, skrzył się na półce i kominku, ogarniał wszystkie drzwi i meble. Z każdą minutą się wzmacniał, aż wreszcie stało się oczywiste, że zdrowe i żywe istoty muszą opuścić ten dom.

Ammi wskazał tylko drzwi i ścieżkę prowadzącą przez pole w kierunku dziesięcioakrowego pastwiska. Szli potykając się jak we śnie, nikt nie miał odwagi się obejrzeć, dopóki nie znaleźli się daleko na wzniesieniu, Ucieszyli się z tej ścieżki, bo nikt nie odważyłby się wyjść frontowymi drzwiami i przejść koło tej studni. Wystarczająco okropne było przejście obok stodoły i szop, obok świecących drzew owocowych, powykrzywianych w szatańskie kształty; Bogu dzięki, że najgorzej się wykrzywiały te rosące wysoko gałęzie. Kiedy przechodzili przez drewniany mostek z nieociosanych belek nad Chapman's Brook, księżyc skrył się za czarnymi chmurami i zapanowała taka ciemność, że po omacku musieli sobie torować drogę na rozległą łąkę.

Tam dopiero odwrócili się, żeby spojrzeć na dolinę i posiadłość Gardnera, w wtedy oczom ich ukazał się przerażający widok. Cała farma lśniła jakimś zupełnie nieprawdopodobnym kolorem; drzewa, zabudowania, nawet trawa i polne kwiaty, które jeszcze nie całkiem spopielały i uschły. Wszystkie gałęzie wyciągały się ku niebu, a na uch czubkach migotały języczki ohydnych płomieni; taki sam monstrualny ogień przesączał się, lizał i pełzał po deskach kalenicy domu, stodoły i wszystkich przybudówek. Była to scena z widzenia Fuseliego, a wszystkim, co jeszcze tam istniało, zawaładnęła orgia świetlnego amorfizmu, obca, bezwymiarowa tęcza tajemnej trucizny sączącej się ze studni - kipiąca, wyczuwalna, lepka, sięgająca wszystkiego, iskrząca się, pełznąca w górę i jadownicie bulgocąca w swym kosmicznym, zupełnie nieznanym chromatyzmie.

Wtem, niespodziewanie, ta ohydna rzecz wystrzeliła w górę, prosto w niebo, niczym rakieta albo meteor, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, i zniknęła w okrągłym i zadziwiająco kształtnym otworze w chmurach, nim ktokolwiek zdążył złapać dech albo wykrzyknąć. Kto to widział, nigdy nie zdoła tego zapomnieć. Ammi wpatrywał się pustym wzrokiem w gwiazdy Cygnus i Deneb skrzące się powyżej innych gwiazd, gdzie nieznaną kolor rozpląnął się pośród Drogi Mlecznej. Jednakże jego wzrok musiał wkrótce powrócić znowu ku ziemi, gdyż w dolinie rozległ się trzask. Tak właśnie było. Tylko łomot i trzask drzewa, żadnej eksplozji, jak twierdzili członkowie tej wyprawy. W każdym razie rezultat był taki sam, bo w jednej przerażającej kalejdoskopowej chwili buchnął z tej skazanej na zagładę i przekłętą farmy roziskrzony erupcyjny kataklizm nienaturalnych iskiei i jakiejś substancji; oślepił tych, którzy akurat patrzyli, a w górę, aż do zenitu, buchnęła taka chmara kolorowych, o niespotykanych kształtach szczątków, do jakich nasz wszechświat nie mógłby się przyznać. Pośród szybko zanikających oparów pomknęły za schorzałą zjawą, która uniosła się w przestworza, po czym i one zniknęły bez śladu. I na wzgórzu, i w dolinie rozlewała się tylko ciemność, do której nie mieli odwagi powrócić, wzmacniał się wiatr, który zdawał się sptywać czarnym, zimnym podmuchem z międzygwiazdnych przestworzy. Gwizdał i wyl, i smagał pola i lasy z oszalałą, kosmiczną zaciekłością, a rozdygotani uczestnicy tej wyprawy zrozumieli, że nie ma sensu czekać na księżyc, by zobaczyć, co pozostało z domostwa Nahuma.

Zbyt przerażonych, aby snuć jakiegokolwiek przypuszczenia, siedmiu rozdygotanych mężczyzn powlokło się w stronę Arkham północną drogą. Ammi był w gorszym stanie niż jego współtowarzysze, poprosił więc, aby wszyscy udali się do niego do domu, żeby nie szli prosto do miasta. Nie miał ochoty przemierzać samotnie nieszczęsnych, miotanych wichrem lasów przy głównej drodze prowadzącej do jego domu. Doznał szoku, który wszystkim pozostałym został oszczędzony i z którego nigdy nie zdołał się otrząsnąć. Przez wszystkie następne lata opanowany lękiem nie miał odwagi nawet wspomnieć o tym wydarzeniu. Wszyscy stojący na owym kotłującym się wzgórzu wpatrywali się otępiałym wzrokiem w rozciągającą się przed nimi drogę, natomiast Ammi obejrzał się raz jeszcze na mroczną dolinę zagłady, która tak niedawno była schronieniem jego nieszczęsnego przyjaciela. Tam, w tym nawiedzonym, odległym miejscu, dostrzegł, że coś się lekko uniosło, po czym opadło znowu w to samo miejsce, z którego wielka, bezkształtna smuga blasku wystrzeliła wprost w niebo. Był to tylko kolor - ale kolor

niespotykany ani na tej ziemi, ani na niebie. A ponieważ Ammi rozpoznał go i wiedział, że ta ostatnia, ledwie widoczna resztką wciąż jeszcze czai się w studni, już nigdy nie odzyskał pełni władz umysłowych.

I nigdy więcej nie zbliżył się do tego miejsca. Czterdzieści cztery lata minęły od czasu, gdy nastąpiło to przerażające zdarzenie, ale przez cały czas ani razu tam nawet nie zajrzał, i będzie rad, jeżeli nowy zbiornik wody zaleje to miejsce. Ja też będę rad, bo nie podobało mi się słońce, które tak zmieniło kolor nad tą opuszczoną studnią, gdy ją mijalem. Mam nadzieję, że woda będzie zawsze głęboka, ale mimo to, nie wezmę jej nigdy do ust. Nie sądzę, abym jeszcze kiedykolwiek chciał odwiedzić okolice Arkham. Trzech mężczyzn z grupy, w której uczestniczył Ammi, wróciło tam nazajutrz rano, aby obejrzeć ruiny za dnia, ale w gruncie rzeczy nie było tam żadnych ruin. pozostało tylko parę cegieł z komina, kamienie, z których zbudowana była piwnica, jakiś minerał i kawałki metalu rozrzucone gdzieniegdzie oraz ocembrowanie studni. Poza martwym koniem Ammiego, którego odciągnęli dalej i zakopali, i wozem, który wkrótce mu zwrócili, wszystko, co żyło tu niegdyś, zniknęło bez śladu. Pozostało tylko pięć akrów przerażającej spopieliałej pustyni, na której już nigdy nic nie wyrosło. Po dziś dzień leży pusta, jakby przeżarta kwasem pośród lasów i pól, a ci nieliczni, którzy ośmielili się spojrzeć na to miejsce, mimo krążących we wsi opowieści, nazwali ją "przeklętym wrzosowiskiem".

Dziwne są to opowieści. Byłyby jeszcze dziwniejsze, gdyby ludzie z miasta i chemicy z college'u przejawili należyte zainteresowanie i przeprowadzili analizę wody z nieużywanej przez nikogo studni albo szarego pyłu, którego wiatr nie rozwiewa. Botanicy również powinni zbadać skarłałą roślinność otaczającą to miejsce, bo wtedy może rzuciliby jakieś światło na domniemanie ludzi we wsi, że pustynie zagłady się rozprzestrzenia - powoli, może o cal w roku. Ludzie mówią, że okoliczna roślinność wiosną jest jakaś inna, że zwierzyzna zostawia na śniegu dziwne ślady. Śnieg w tym miejscu nigdy nie zalega tak obficie jak na innych terenach. Konie - te nieliczne, jakie jeszcze pozostały w zmotoryzowanej epoce - płoszą się w cichej dolinie; a myśliwi nie mogą polegać na swoich psach zbliżywszy się do obszaru pokrytego szarym pyłem.

Powiadają też, że to miejsce źle wpływa na umysł; wielu jakoś zdziwaczało w ciągu paru lat po śmierci Nahuma i wszystkim brakowało sił, żeby się stąd wynieść. Ci, co mieli mocniejszą głowę, opuścili te teren i tylko obcy przybysze próbowali zamieszkać w rozpadających się starych domostwach. A jednak nie mogli tu długo pozostać; nieraz ten i ów zastanawia się, jaki wpływ, poza tym nieznanym, wywarły na nich przekazywane szeptem niesamowite, tajemne opowieści. Nocą ich sny, jak twierdzą, są koszmarnie w owej groteskowej krainie; nie ulega wątpliwości, że sam wygląd tej mrocznej krainy wystarcza do pobudzenia chorobliwej wyobraźni. Żaden podróżnik nie zdołał uciec od dziwnego uczucia w tych głębokich wąwozach, zaś artyści drżą malując gęste lasy, których tajemniczość jest zarówno odczuciem wzrokowym, jak i duchowym. Ja sam jestem ciekaw, dlaczego byłem tak poruszony tą jedyną samotną przechadzką, jeszcze nim usłyszałem opowieść Ammiego. Gdy zapadł zmierzść, pragnąłem skryć się, aby chmury zgromadziły się na niebie, bo jakiś dziwny lęk zakradł się do mej duszy na widok głębokiej próżni na niebie.

Nie należy mnie pytać o opinię. Nie wiem - to wszystko. Nie miałem kogo spytać, tylko Ammiego, bo mieszkańcy Arkham nie mówią o tych dziwnych dniach, a trzech profesorowie, którzy widzieli aerolit i jego kolorową kulę, już nie żyją. Były inne kule - to nie ulega wątpliwości. Jedna zapewne się wystarczająco pożywiła i znikła, a druga chyba nie zdążyła. Z pewnością jest jeszcze w studni - widziałem, że coś dziwnego działo się z blaskiem słońca ponad kruszącym się ocembrowaniem studni. Wieśniacy twierdzą, że zniszczenie rozprzestrzenia się co roku o cal, jest więc możliwe, że wciąż jeszcze kula rośnie albo syci się swoim pokarmem. Jakkolwiek demon się tam czai, niewątpliwie jest jedno, że musi być osaczony, bo inaczej szybko by się rozprzestrzenił. A może jest przymocowany do korzeni tych drzew, które szarpną powietrze? Jedna z aktualnie obiegujących Arkham opowieści mówi o potężnych dębach, które świecą i kołyszą się nocą w sposób niespotykany wśród drzew.

Dlaczego tak się dzieje, tylko Bóg jeden wie. W terminologii materii to, co przedstawił Ammi, można by nazwać zapewne gazem, jednakże ten gaz podlegał prawom nie istniejącym w naszym kosmosie. Nie był wytworem światów i słońc, które świecą w teleskopach i na fotograficznych płytach naszych obserwatoriów. Nie był to powiew niebios, których ruchy i wymiary nasi astronomowie obliczają albo też uważają, że są zbyt nieograniczone, aby je można było obliczyć. Był to po prostu kolor z przestworzy - niesamowity zesłaniec z nieogarnionych sfer nieskończoności, spoza zasięgu naszej Natury, ze sfer, których samo istnienie oszałamia umysł i poraża nas czarną ponadkosmiczną otchłanią, jaka otwiera się przed naszymi przerażonymi oczami.

Wątpię, ażeby Ammi świadomie mnie okłamywał, nie sądzę też, aby jego opowieść była tylko fantazją szaleństwa, jak mnie uprzedzali ludzie z miasta. Coś strasznego objawiło się w górach i dolinach wraz z tym meteorem, coś strasznego - choć nie wiem, w jakich proporcjach - wciąż jeszcze tam istnieje. Ucieszę się, kiedy woda zakryje te tereny. Mam nadzieję, że do tego czasu nic złego nie przydarzy się Ammiemu. Tyle widział z tej rzeczy - a jej wpływ był tak zdradliwy. Dlaczego Ammi nie mógł się stąd ruszyć? Jakże jasno pamięta ostatnie słowa umierającego Nahuma: "nie możesz się uwolnić... wciąż cię... wiesz, że coś przybywa, ale to nie ma znaczenia..." Ammi to poczciwy starzec... Kiedy ekipa rozpocznie prace przy tym zbiorniku wodnym, muszę napisać do głównego inżyniera, aby strzegł go czujnie. Nie zniósłbym myśli, że staje się spopieliałym, powykręcany i kruszącym się monstrum, które trapi mnie ciągle we snach.

**Autor:** Howard Philips Lovecraft

---

[Początek]